

# GŁUPIEC I DEMON LASU

(Początek)

Dłgie lata spędził głupiec w dzikim lesie, demonowi lasu służąc: drwa mu rąbał, wodę mu nosił, na wszystkich jego drogach mu towarzyszył, wszystkich jego rozkazów słuchał, pracował i zadania spełniał, i cały czas jedynie uśmiechał się i milczał. Niekiedy tylko w czas letni, gorący i leśny, gdy robić nie ma co, gdy wszystko już zrobione, a dzień jeszcze w pełni, gdy las jest ospały – od słońca i od siebie samego, od dnia i od stania, a demon lasu jest rozleniwiony i niemrawy, i w końcu wycieńczony latem i upałem do swej starej lipy na odpoczynek wchodzi – wtedy, gdy słoneczne cienie leżą, pod drzewami, które stoją, w lesie, który odpoczywa razem z ucichłymi ptaszkami i jeszcze cichszymi gniazdami – wtedy to wybierał się głupiec na swoje dalekie i jemu-tylko-jednemu-znane miejsce leśne, zaciszne, niskimi drzewami i gęstym listowiem zasłonięte. Leżał tam kamień prastary mchem porośnięty. Głupiec przychodził, siadał przy kamieniu, opierał się o niego plecami, twarz zwracał tam, skąd przyszedł, i tak, i na resztę dnia w swoich i w leśnych myślach się pograżał. Siedział tak sam i na owym miejscu, spokojem dnia ogarnięty i bez żywej duszy wokoło, i gdy tak siedział, lekki uśmiech rozświetlał czasem jego twarz i na wargach się pojawiał, jasny i radosny, czysty i z wnętrza jego; i długo się tak uśmiechał, sam i do siebie, dobrze i przedobrze, i tak, i radośnie i długo, dobry i głupi tam pozostawał...

Ale o zmierzchu, gdy słońce zachodziło i zewsząd zaczynały już wypełzać cienie, co kładły się długo i szeroko, i na las, i na drzewa, głupiec podnosił się ze swego miejsca, twarzą do kamienia się odwracał, długo przed nim stał i na niego spoglądał, a przed odejściem tak do niego powiedział:

– Długo siedziałem przy tobie, kamieniu: przez cały dzień w ciebie wierzyłem, myślałem, jak za każdym razem, że dziś w końcu się rozewrzesz, zanim słońce zajdzie, i słońce z siebie wyciągniesz, i zmierzchowi je podarujesz, i niemożliwa stanie się noc. Na to dziś czekałem i nieraz mi się wydawało: oto krąży w tobie siła, która cię w końcu rozewrze, i roześmiałem się w sobie. A teraz muszę już wracać, dalej służyć lasowi i demonowi, dalej czekać na ciebie, kamieniu, i oto ja głupiec, odchodzę...

I odwracał się głupiec od kamienia samotnego w lesie, w ukryciu i w gęstwinie go zostawiał, w drogę powrotną razem ze zmierzchem i zachodem słońca się wybierał, i cicho, i późno wieczorem i ciemnym do demona lasu i do lipy przychodził i nadal śpiącego go zastawał.

– Która godzina? – Dochodził za jakiś czas ochryply głos z pnia drzewa. – Późno już i pora wstawać.

Demon wystawiał z pnia najpierw głowę i rogi, potem zaś cały wyłaził z nogami i sierścią, przeciągał się i ziewał, kości rozprostowywał i na plecach głupca się opierał, a głupiec go podtrzymywał, ciało jego i ciężar jego, dopóki ów świeżo i demonicznie się nie poczuł. Zaczynał się demon wieczornie i w dobrym humorze rozglądać, gdzie i w jakiej stronie noc tę spędzi, gdzie i co go tej nocy czeka. Szukał i znajdował, i w końcu głupcowi wskazującym palcem nakazywał: niech zbierze garnki i to, co na wieczerzę, niech z nim idzie, tam i w tamtą stronę.

Tak było, tak zwykło bywać, dniami i latami – stoi las, mijają czas, głupiec-sługa, demon-pan, i tak bez zmian. Ale pewnego razu, po takim spaniu popołudniowym i wstaniu wieczornym, demon i głupiec zapuścili się w las bardzo daleko. Noc letnia i księżycowa, jasna i rozświetlona, a oni szli i szli, aż w końcu pośrodku czegoś się znaleźli. Przyszli tam, zobaczyli: nigdy jeszcze w owym miejscu nie byli, nigdy tak zarośniętego trawami na dole i tak strzelistego od drzew na górze nie widzieli i nigdy tak dziko, nigdy tak obco, nigdy tak wieczornie i nigdy tak jasno. Drzewa tam stały długie i olbrzymie w całej swej roślności i sytości, pnie zdrowym sokiem napełnione, korzenie w ziemnej pewności, wierzchołki



w jasności i gałęzie przy głowach trzymając, i w mocy swej i wysokości demona i głupca u stóp swoich nawet nie zauważyły: malutcy i znikomi na dole i przy pniach się kręcili, głowy do góry zadzierali, na wierzchołki drzew spoglądali, oczu nie mogąc oderwać i dziwić się bez miary.

– Gdzież my jesteśmy? – Nie wiem – odpowiedział głupiec. – Nie poznaję tego lasu.

Niebawem demon nakazał głupcowi: niech wyjmie tu wszystkie rzeczy i niech tu ogień roznieci, muszą tu bowiem zostać przez całą noc, muszą to miejsce wybadać. Głupiec posłuchał: wkrótce między trawami ogień rozniecił, wieczereż na nim nastawił i gotować począł. Siedział i ognia doglądał, od czasu do czasu do niego dokładał i go podtrzymywał, rozpalil się więc ogień i rozplomienil; doglądał go głupiec, a demon tymczasem kręcił się tu i tam, miejsce badał, i na razie nie odchodził i w pobliżu ognia się trzymał. Potem, gdy dym już wysoko w niebo się wzbił, podszedł demon do głupca i tak do niego powiedział:

– Głupcze, zostawiam cię tutaj samego, przy ogniu, i żebyś siedział, doglądał, nie zasypiał. Pilnuj tylko, by dym się wznosił. Ja sam idę, ja sam iść muszę, z miejscem tym się zapoznać: nie przystoi bowiem demonowi, by las – jego demona – krył jakieś miejsce, jemu nieznanne.

Powiedział i poszedł.

I głupiec został wtedy sam jeden przy ogniu. Siedział sobie i siedział, cicho i na swój sposób, w lesie i w trawie, w poświęcie i w leśnej, aż pogrążył się w myślach. Wtedy roześmiał się cicho, długo i dłużej, i jak zwykle głupkowato, cicho i radośnie, jak to zawsze on, głupiec; śmiał się tak, dla siebie i dla przyjemności, aż w końcu przestał, zabrał się ponownie do ognia, milczkiem, i uśmiechając się resztkami śmiechu, do niego dołożył. Dym się od tego wzniosł wysoko i ponad drzewa, prosto i dymnymi kolumnami, tak cicho i tak długo, tak wieczornie i niepostrzeżenie, aż wieczór przeszedł, nadeszła północ, a demon ciągle nie wracał, wtedy zachciało się głupcowi spać, przysunął się więc do ognia, wtulił w odzienie, i tak, i siedząc, głowę ciężko na piersi opuścił i zasnął.

I raptem, gdy głupiec na dole spał, w górze, na jednym z drzew, wysokim i zdrowym, przy samym wierzchołku, gałąź się rozhuściła. To młoda leśna istota, stworzenie żeńskiego rodzaju, na drzewie się pokazała i na dół, na głupca i przy ognisku śpiącego patrzeć począła. Patrzyła i huściła się, zwinnie i leśno-dziewczęco, lekka i ledwo zauważalna, tak długo poruszała się to w górę, to w dół, aż się w swym huśtaniu zatrzymała, gałąź swym ciałem przytrzymała i jakby bez wagi i bez oddechu, po długim patrzeniu w dół w końcu z góry krzyknęła:

– Głupcze, dlaczego śpisz? Wracam od kamienia, kamień nie jest sam, kamień się rozwarł...

Wykrzyknęła to i na zbudzenie głupca czekała. Nic się nie stało, więc znowu krzyknęła:

– Dlaczego śpisz, głupcze? To ostatnia noc twej służby u demona, idź, oczekują cię już przy kamieniu, już cię tam wypatrują...

A gdy głupiec ciągle jeszcze się nie budził, zerwała rosnącą obok dużą i twardą, i suchą szyszkę i prosto wycelowała i głupca w śpiącą głowę trafiła:

– Wstawaj!

A kiedy głupiec się obudził, dojrzał przed sobą powracającego demona, który stał z głową w górę zadartą, na wierzchołek pobliskiego drzewa spoglądał, wpatrywał się, dziwił i pytał:

– Kto tam jest? – Ja! – odpowiedziało mu z góry. – Kto to jest ja? – Istota leśna. – Czego tu chce? – Pana od służby wyzwolić. – Kogo ma na myśli? – Jego! – pokazała na głupca.

I gdy demon zwrócił się do niego i chciał mu w twarz spojrzeć, zastał go już jak zwykle i na swój sposób ze zwróconą w dół głową, schyloną ku ziemi i z opuszczoną, stojącego jakby w zawstydzeniu i uśmiechającego się półgębkiem i do brodusznie, wstydliwie i z poczuciem winy jak w obliczu występku. Demon zwrócił się do niego już poważniej, z bezruchu go obudził i ze stania-w-zawstydzeniu go wyrwał:

– Ha, głupcze!

– Tak – odpowiedział mu głupiec, podnosząc głowę i ledwie patrząc mu w oczy – żegnamy się.

I demon nic już nie odrzekł.

Wtedy głupiec podał demonowi wieczereż, sam i w oddali na modłę sługi stał i czekał, aż ów zje, a potem naczynia zebrał, i cicho i razem z demonem z tego miejsca i z tej nocy z powrotem i do domu w drogę się wybrał. Gdy wrócili, głupiec podszedł do drzewa, cicho i po wydarzonym w ciszy naprzeciwko niego stanął, milcząc i przed jego pniem tak stał, potem się na kolana osunął, twarzą do ziemi się schylił i cicho, i długo przed nim leżał. Klęczał i bił pokłony, długo i przed jego ziemią drzewną, aż się potem sprzed niego i jego bytu podniósł, do demona podszedł, w oczy mu spojrzął, a potem i krótko, i tak doń powiedział:

– Głupiec jest ci wdzięczny. – Za co? – Za długo i za te lata, za moją obecność tutaj i za byłą...

I nie czekając na nic, na słowo czy odpowiedź, odwrócił się plecami i cicho, i odchodząco od demona i od służby demonowi, swoje miejsce i swoje drzewo opuścił.

*przełożyła z jidysz Natalia Krynicka*